

Jadwiga Mizińska*

Stróżowie swoich braci

*Jesteśmy mimo wszystko
stróżami naszych braci*

Z. Herbert, *Pan Cogito o potrzebie ścisłości*

I

Zamiast przystąpić do udzielenia odpowiedzi na tematy „Czy wartości chrześcijańskie są rozpoznawalne?”, najpierw przyjrzyjmy się samemu pytaniu. Zapytajmy o pytanie: kto, kiedy i dlaczego je zadaje. Jeśli bowiem wartości specyficznie chrześcijańskie istnieją, to są one tak stare, jak samo chrześcijaństwo. Być chrześcijaninem zatem to tyle, co je wyznawać, to jest – rozpoznawać i realizować. Skoro po tylu wiekach mimo wszystko pada pytanie będące przedmiotem publicznych sporów i teoretycznej, specjalnie zorganizowanej dyskusji, znaczy to, iż rzecz cała przestała być oczywista. Stała się wątpliwa zarówno dla tych, którzy kwestionują sens wyróżniania owych wartości jako osobliwych na tle wartości uniwersalnych, jak też – *nolens volens* – dla obrońców ich specyfiki.

Problem rozpoznawalności (*resp.* istnienia) wartości chrześcijańskich nie został bynajmniej wysunięty ani przez teologów, ani przez zwykłych, wierzących, ani nawet przez niedowiarków czy ateistów. Jak zaznacza to wprost Redakcja „Przeglądu Filozoficznego”, okazją do jego sformułowania stała się „uchwalona przez parlament ustawa o radio i telewizji przewidująca możliwość stosowania kar za obrazę wartości chrześcijańskich”.

Pretekst jest więc natury polityczno-ideologiczno-prawnej. Ale cała kwestia nie jest aż na tyle doraźna i okazjonalna, jak by to sugerowały przytoczone słowa. Kontrowersja wokół wartości chrześcijańskich rozgrywa się na szerszym tle sporu o kryzys wartości w ogóle u schyłku stulecia, które rozpoczęło się pod hasłem panowania Rozumu, a kończy w chaosie irracjonalizmu. Świat, a w tym „oświecona Europa” jak gdyby utracił busolę i niby statek pijany z wiersza Rimbauda zatacza się po „brudnych falach irracjonalizmu”, jak to swego czasu określił w pewnej rozmowie prof. Augustynek.

* Jadwiga Mizińska – doktor habilitowany, Wydział Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Kryzys aksjologiczny wywołany całym złożonym syndromem przemian cywilizacyjnych i społecznych, a kulminujący w zderzeniu pojęć użytych przez Z. Baumaną jako tytuł jego książki *Nowożytność i zagłada*, spotęgowany został – jakby nie było dość szoku ludobójstwa i holocaustu – o skutki rozkładu imperium komunistycznego. Rzec można, iż po raz kolejny uległy roztrzaskaniu Kamienne Tablice: totalitaryzm Hitlera zadał klam fundamentalnej idei humanizmu, nakazującej respekt dla wszystkiego, co ludzkie, zaś totalitaryzm Stalina dokończył tego dzieła zniszczenia konstruując „inny świat”, gdzie wszelkie wartości, na czele z ludzkim życiem, zostały do końca przenicowane i opustoszone.

Sytuacja, w jakiej się obecnie znajdujemy, porównywana jest często do labiryntu aksjologicznego. Pamiętajmy, iż labirynt ma dwóch bohaterów: zagubionego w nim Tezeusza i zamieszkującego go Minotaura, potwora czyhającego na śmiałków. Tezeusz poszukuje wyjścia z labiryntu w przerażeniu. Nie ma czasu na spokojne, rozważne metodyczne przemyślenia. Działą gorączkowo popędzany strachem.

Dzisiejszy labirynt różni się od mitologicznego tym, że wprawdzie Potwór nihilizmu jest jeden, ale Tezeuszy – wielu. Każdy na swój sposób przemierza ślepe korytarze, błądząc po różnych szlakach, zderzając się ze zwielokrotnionym sobowtórem. Każdy z nich ma też inną Ariadnę. Nici z odwijanych kłębków płaczą się, stwarzając dodatkową przeszkodę.

Wysiłek poszczególnych poszukiwaczy centrum orientacyjnego nie dodaje się i nie sumuje, ale nawzajem znosi. Postrzegają się oni jako konkurenci a nie sprzymierzeńcy, aczkolwiek sam cel mają na pierwszy rzut oka wspólny. Widocznie jest coś takiego w ich myśleniu (czy raczej – w niezbyt przemyślanym działaniu), co sprawia, iż nie mogą zjednoczyć swoich wysiłków.

I właśnie ten moment *a priori* skazujący je na rozproszenie jest godzien wyjątkowo uważnego zastanowienia.

W moim przekonaniu przesądza o nim nastawienie fundamentalistyczne. Współczesna rzeczywistość doświadczona skutkami mniej czy bardziej jawnego nihilizmu aksjologicznego, reaguje na spowodowane nim straty i urazy na zasadzie wahadła. Mianowicie – ma tendencję wstawiać w puste miejsce po zdegradowanych wartościach – nowe „absoluty”. Kliniknym przypadkiem tego rodzaju jest fundamentalizm islamski. W tym samym paradygmacie mieści się alternatywna postać fundamentalizmu chrześcijańskiego.

Pytanie o odrębność i rozpoznawalność chrześcijańskich wartości w takiej właśnie formule może być uznane za świadectwo myślenia o wartościach w kategoriach fundamentalistycznych. Fundamentalistycznych a równocześnie – partykularnych.

Paradoksem jest bowiem sam fakt występowania fundamentalizmów w liczbie mnogiej. Jeśli istotę fundamentalizmu stanowi wiara w absolut,

a fundamentalizmów jest więcej niż jeden, to owe domniemane absoluty zaczynają się nawzajem relatywizować. A ponieważ mimo to nie zamierzają ustąpić z przekonania o swojej jedyności, musi dochodzić do ich konfrontacji i rywalizacji.

II

Partykularne fundamentalizmy – teraz to wyrażenie przestaje, mam nadzieję, brzmieć absurdalnie – stają się źródłem walki o prymat. Rodzi ona z kolei silną tendencję do zawłaszczania wartości powszechnych i przedstawiania niektórych z nich jako „własności prywatnej”. Polemika o osobliwościach wartości chrześcijańskich zdaje się mieścić w tym trendzie do „reprivatyzacji” tego, co niegdyś było „uspołecznione”. Dziwaczność pytania o ich odrębność (w stosunku do czego? – to nie zostało jak dotąd sprecyzowane) narzuca się zwłaszcza wówczas, gdy przypomnieć aksjomatyczne przesłanki chrześcijańskiej religii. Ma to być wszak religia powszechnego braterstwa opartego o przykazanie miłości bliźniego i wybaczenia nieprzyjaciółom. Czyż może istnieć reguła o większym stopniu uniwersalności? Słowa Ewangelii, wedle których dla chrześcijanina „nie masz Żyda ani Greka”, czyli „gorszego” innowiercy ani poganina, osłabiają wymowę tych, które powiadają „nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Zwróćmy baczną uwagę: nie mówi się tam po prostu „nie będziesz miał żadnych innych bogów”, ale właśnie: „cudzych przede mną”. Bóg, który wygłasza tak brzmiące przykazanie nie zakazuje innych wyznań. Jest tolerancyjny i wyrozumiały. Oczekuje jedynie bliskości i wierności sobie, o ile jego akurat się wybrało. To logiczne: skoro jest stwórcą wszystkich ludzi, a ci swojemu obiektowi wiary nadają różne postacie, oblicza i imiona, nie może się na nich gniewać za to, iż korzystają ze swobody wyboru, z wolnej woli, która ich upodabnia do Boga.

Taka małoduszność, zazdrość o „cudzych bogów” przeczyłaby istocie boskości, którą jest – odwrotnie – wielkoduszność zakorzeniona w miłości do Stworzenia. Jeśli mimo wszystko Bóg Miłości jest także Bogiem-Sędzią, to osądza on nie przede wszystkim lojalność wobec siebie (tak, jak to czynią władcy tego świata), ale ludzkie uczynki. Pod jednym głównie względem: czy kierowane są one życzliwością, przyjaźnią i miłością do innych ludzi pozostających wszak wcieleniem Boga, czy też – nienawiścią.

Bóg Miłości nie chce być kochany za wszelką cenę. Piętnując Kaina za to, iż w rywalizacji o przyjęcie ofiary z bratem Ablem posunął się do bratobójstwa, dał nam raz na zawsze znak. Taki oto, że nie ubiega się o miłość do siebie kosztem innego człowieka. Nawet po zbrodni Bóg rozmawia z Kainem, by uświadomić mu prawdziwą naturę jego przewinienia. Grzech Kaina to nie tylko zabójstwo. To błąd w rozumowaniu zawarty w wykręcie „czyż jestem stróżem brata mego?”.

Lekcja Kainowej zbrodni i to, że Bóg nie dopuścił do zemsty na nim ze strony innych ludzi jest ewidentna. Taka właśnie, jaką wyprowadza też Z. Herbert w swym wierszu *O potrzebie ścisłości*: „jesteśmy mimo wszystko stróżami naszych braci”. Mimo wszystko – to znaczy: bez względu na to, do kogo się modlą i w co wierzą.

III

Wbrew temu, co powiedzieliśmy dotąd o zasadniczej uniwersalności chrześcijańskiego aksjomatu miłości bliźniego, można jednak stwierdzić pewną osobliwość tej religii powszechnego braterstwa. Upatruję ją w miłosierdziu, która jest cechą Boga „chrześcijańskiego”, a – by znieść cudzysłów – którą eksponuje religia chrześcijańska.

Miłosierdzie jest szczególną odmianą i aspektem miłości. Polega na chęci i zdolności wybaczenia ludziom własnych krzywd. W odróżnieniu od litości, która jest jak gdyby uczuciem biernym i opartym na przeświadczeniu o swojej wyższości, miłosierdzie jest uczuciem aktywnym, czynnym, wymagającym wewnętrznej pracy nad sobą. Polega na przezwycięzeniu impulsywnej chęci odwetu, zemsty, natychmiastowego „wymiaru sprawiedliwości” według miar pokrzywdzonego. Odwołuję się do tej oto prawdy, iż wszyscy jesteśmy słabi, podatni na pokusy i skłonni do odpłacania kamieniem za kamień. Chrystus nawołuje do odpłacania chlebem za kamień, do nadstawiania drugiego policzka.

Tylko z pozoru jest to dowód naiwności i braku logiki. W istocie to przejaw głębokiej mądrości i znajomości praw społecznych i psychologicznych. Tak jak zło rodzi zło, przemoc – przemoc, uraza – urazę i to sprzężenie zwrotne prowadzi do eskalacji niszczycielskiej nienawiści, tak dobro procentuje dobrem. Wprawdzie ten „rachunek dobra” nie jest tak spektakularny jak „rachunek zła”, lecz tylko na nim można oprzeć nadzieję, że plemię Kainowe nie wymorduje się nawzajem.

Kain został oszczędzony przez Boga i po to, by zdołał zadośćuczynić swojej zbrodni i jako przestroga dla nas wszystkich. Bohaterem pozytywnym – gdyby ktoś wolał naukę wprost – jawi się dla autentycznego chrześcijanina dobry Samarytanin. W jego postępkach – udzielenia w nieszczęściu pomocy człowiekowi innej wiary i z innego plemienia – Chrystus uczył wielkoduszność, która może także stać się rzeczą ludzką. Miłość czynna wymaga ofiary, ale nie takiej, jaką uczynił ze swego brata Kain. Winna to być ofiara z siebie, ze swojego lenistwa moralnego, zazdrości, zawiści, a zwłaszcza – nienawiści. Miłość, jaką akceptuje Bóg nie musi, a wręcz nie może na swym rewersie nosić znaku nienawiści. Obcy jej jest jakikolwiek fanatyzm.

Łatwiej kochać bliźniego, swoje alterego, niżli kogoś „dalszego” (jeśli słowo „bliźni” pochodzi od bliskości). Ale też Bóg ceni wyżej i wyróżnia

właśnie tych, którzy potrafią przedrzeć się wyobraźnią przez fantomy odmienności i dojrzeć w kimś „obcym” „swojego”.

Dlatego wszelki fundamentalizm jest zaprzeczeniem ducha tej religii, religii chrześcijańskiej powstałej jako wyznanie solidarności słabych, bezsilnych, poniżonych, ale wyzbytych pragnienia panowania, mocy i zemsty.

Dyskusja o wartościach chrześcijańskich ma sens tylko wówczas, gdy religię traktuje się w aspekcie wiary, przeżycia wewnętrznego, a nie w jej aspekcie instytucjonalnym. Bywało już niejednokrotnie, że Kościół jako instytucja zdradzał zasady wiary, która go powołała do istnienia. Objawem tego odstępstwa każdorazowo stawały się superinstytucje powoływane do egzekwowania prawomyślności. Inkwizycja czy cenzura, ilekroć się odnawia w jakiejś zmodyfikowanej postaci – stanowi symptom przewagi Litery nad Duchem. A raczej – braku troski o ducha, jego zignorowanie bądź zlekceważenie. Strażnicy Litery mogą się kiedyś ocknąć w pustej świątyni, z której wyemigrowali wyznawcy kultu wraz z Bogiem, który jeśli jest, jest wszędzie. I nie lęka się bezdomności bardziej niż samotności w domu pozbawionym miłości.

Andrzej L. Zachariasz*

Wartości chrześcijańskie. Problem nie w rozpoznawalności, ale w aktualności

Pytanie: „czy wartości chrześcijańskie są rozpoznawalne?” należałoby poprzedzić ustaleniem co to są w ogóle wartości i czy jako takie w ogóle „są”. Trudno byłoby bowiem dowodzić odrębności wartości chrześcijańskich nie rozstrzygając wcześniej czy w ogóle wartości daje się wyróżnić jako odrębną formę istnienia. O ile uda się dokonać tego rodzaju określeń, możemy, jak sądzę, podjąć próbę odpowiedzi na pytanie sformułowane przez Redakcję „Przeglądu Filozoficznego” o to: „czy wartości chrześcijańskie są rozpoznawalne?”, a w dalszej kolejności rozważyć – wprowadzoną już w tej wypowiedzi kwestię – „czy są aktualne?”

Należy jednak dodać, że nie bez znaczenia dla odpowiedzi o aktualność wartości chrześcijańskich jest określenie ich statusu. Jeśli bowiem przyjmimy, że są one obiektywne i absolutne, przy równoczesnym dążeniu do wyróżnienia wartości chrześcijańskich spośród innych, a więc np.

* Andrzej L. Zachariasz – profesor, doktor habilitowany, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.